IX TARGI
CIEKAWEJ KSIĄŻKI
W ŁODZI
KRZYSZTOF
JAGIEŁŁO
24.11
NIEDZIELA
13.00
Krzysztof Jagiełło
PIAST MŚCICIEL
Krzysztof Jagiełło
PIAST MŚCICIEL
Krzysztof Jagiełło
PIAST MŚCICIEL
Kropla
10 zł
JO NESBØ
SYN
10 zł
JO NESBØ
SYN

"Ja sobie po prostu wyskoczyłem" – wywiad z Krzysztofem Jagiełłą

Fahrenheit Crew

Jagna Rolska: Zacznę przewrotnie. Rozmawialiśmy prywatnie kilka razy, a gdy zapytałam Cię o Twoją twórczość, odpowiedziałeś: „Ja sobie po prostu wyskoczyłem". Wyjaśnisz naszym czytelnikom, co miałeś na myśli?

Krzysztof Jagiełło: Mam na myśli głębokie otchłanie własnej naiwności. Rynek książki jest na tyle trudny, że większość debiutantów ma za sobą mnóstwo działań pomocniczych. Zgłaszają się do wydawnictw po opublikowaniu kilku opowiadań, czy długotrwałej pracy na rzecz szeroko pojętego fandomu, wyrabiają sobie kontakty, zawierają profesjonalne przyjaźnie. Ponieważ nikt mi o tym nie powiedział, a nie byłem wystarczająco sprytny, by się tego domyślić, zadziałałem po polsku. Koko jumbo i do przodu.

Ale może właśnie dzięki temu w Wydawnictwie Dolnośląskim zerknięto na mój tekst? Z tego, co mi wiadomo, podejrzewali nawet, że ktoś sobie robi ich kosztem żarty.

J.R.: Teraz to już mnie porządnie zaintrygowałeś!

K.J.: To całkiem zabawna anegdotka. Kim był Jagiełło, wie każdy sześciolatek w Polsce. Natomiast mój adres zamieszkania jest powiązany z pewnym mitologicznym stworem, który zdołał silnie przeniknąć do popkultury. Wysyłając maile ze swoim pierwszym tekstem, określiłem go jako historyczne fantasy osadzone w starożytnym Rzymie. W Wydawnictwie Dolnośląskim dodano dwa do dwóch i nabrano podejrzeń, że jakiś pisarz próbuje się tak do nich dostać pod pseudonimem. Co – paradoksalnie – zadziałało pozytywnie, bo sprawiło, że mój tekst został szybciej przeczytany. Spodobał się i nawiązaliśmy kontakt.

Choć żeby nie było tak różowo, przed podpisaniem umowy na *Piasta Mściciela* zaproszono mnie do siedziby wydawnictwa. Pierwsze zadane pytanie miało ustalić, czy to moje prawdziwe nazwisko oraz adres zamieszkania. Nie powiem, mile połechtało to ego początkującego klepacza w klawiaturę.

J.R.: Można więc powiedzieć, że w pokrętny sposób historyczne nazwisko otworzyło drzwi wydawnictwa. Panuje ogólne przekonanie, że przebicie się na rynku wydawniczym jest

niełatwym zadaniem, a już z pewnością zajmuje bardzo dużo czasu. Dobrze rozumiem, że Twoja historia temu przeczy? Ile czasu zajęło ci przejście drogi od momentu, w którym postanowiłeś zacząć pisać, do chwili, w której wziąłeś do ręki własną książkę?

K.J.: Można chyba tak powiedzieć. Podejmowałem wcześniej jakieś próby pisarskie, ale bez przekonania. Jednak po skończeniu edycji swojej drugiej powieści miałem wreszcie wrażenie, że tekst można pokazać bez wstydu komuś innemu niż żona. Wysyłając go do wydawnictw, zachowywałem naiwną pewność siebie żółtodzioba.

Okazuje się, że głupi ma jednak czasem szczęście. Ze względu na korzystny układ zbiegów okoliczności manuskryptem zainteresowało się Wydawnictwo Dolnośląskie. Powieść ostatecznie nie została wydana, ale rozpoczęliśmy rozmowę na temat kolejnego projektu. Od tamtej chwili do momentu, w którym trzymałem w ręku fizyczną kopię *Piasta Mściciela*, minęło kilkanaście miesięcy.

J.R.: Biorąc pod uwagę nasze realia wydawnicze, to wręcz olimpijskie tempo! A jak wspominasz współpracę z redaktorem?

K.J.: Fantastycznie. Naczytawszy się przestróg dla debiutujących autorów o tym, jak ich książka zostanie zmasakrowana na etapie redakcji, przygotowałem się psychicznie na ciężkie grzmoty. Tymczasem od pani Małgorzaty Grochockiej usłyszałem najlepszy komplement, jaki mogłem sobie wyobrazić. Podczas naszej pierwszej telefonicznej rozmowy zdradziła, że musiała w pewnym momencie przerwać edycję, gdyż tak się wciągnęła w lekturę. Pisałem *Piasta…*, mając nadzieję na takie właśnie reakcje. To, że podobne słowa padły z ust zaprawionej w boju redaktorki, która redagowała książki wielu uznanych autorów, dodało mi dobre dziesięć centymetrów wzrostu.

Inna sprawa, że zarówno pani Małgorzata, która redagowała pierwszy tom, jak i pan Jacek Ring, który pracował nad drugim, musieli wykonać kawał tytanicznej roboty w warstwie językowej. Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że widzę siebie bardziej jako kogoś, kto snuje opowieści, niż pisarza. Klepię w klawiaturę, bo nie mam kilkuset niepotrzebnych milionów dolarów, by na przykład kręcić filmy.

J.R.: I właśnie o warstwę językową chciałam zapytać. *Piast mściciel* jest napisany zdecydowanie nowoczesnym językiem. Wiem, że to było z Twojej strony całkowicie świadome działanie. Wyjaśnisz, co za tym stało?

K.J.: Troska o czytelnika, oczywiście.

A tak na poważnie, nowoczesny język wynika zapewne z tego, że większość książek, które czytam, jest autorstwa amerykańskich twórców. Angielski to bardzo prosty język, ale zarazem niezwykle plastyczny w literaturze. Jednocześnie autorzy z tego kręgu kulturowego już dawno zrozumieli, że czytanie nie jest jakimś świętym obrządkiem. Służy głównie rozrywce.

Już Oscar Wilde (Irlandczyk, ale piszący po angielsku) przyrównywał warstwę językową opowieści do okna w kościele. Może być czyste niczym szkło, wówczas doskonale widzimy to, co się dzieje po drugiej stronie, czyli właściwą historię. Jednak jeśli będziemy patrzeć przez wyrafinowany witraż, niewiele zobaczymy.

Ernest Hemingway większości Polaków kojarzy się z staruszkiem, który przez kilkadziesiąt stron łowił rybę. Jednak tak naprawdę to prawdziwy tytan anglojęzycznej literatury, grający w tej samej lidze, co Szekspir czy Joyce. Człowiek, który ukształtował kilka kolejnych pokoleń pisarzy. Otóż ten gigant miał taką metodę edycji tekstu, że gdy był już zadowolony z opowiadania bądź powieści, zaznaczał sobie w manuskrypcie każdy wyraz, który miał cztery lub więcej sylab – i próbował

zmienić go na prostszy. Kiedy był już zadowolony z efektu, brał się za trzysylabowce.

Dlaczego? Ano po to, aby opowieść płynęła. Każde dłuższe lub mniej spotykane słowo wymaga dodatkowej uwagi przy czytaniu. Tu nie chodzi o to, że traktował odbiorcę jak idiotę. On po prostu chciał, aby czytelnik zapomniał, że siedzi w wygodnym fotelu i ogląda czarne literki wydrukowane na białym tle. Mówimy o pierwszej połowie dwudziestego wieku. Przed erą telewizji, przed eksplozją kinematografii.

Stephen King wyrzucał z tekstu wszystkie przydawki. Nazywał je narzędziami leniwego twórcy. Nie pisał, że bohater „gwałtownie wszedł", tylko że „wtargnął". To są lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku. Nie ma jeszcze Internetu ani smartfonów.

Jim Butcher, którego traktuję jako autora przeprowadzającego mnie na drugą stronę pisarskiego lustra, prawdziwy gigant nurtu urban fantasy, stwierdził, że im dłużej pisze, tym bardziej upraszcza tekst do poziomu zrozumiałego dla ucznia ósmej klasy.

Czemu? Czy człowiek z tytułem naukowym z filologii angielskiej nie potrafi lepiej?

Nie. Amerykanie są niezwykle praktycznym narodem. Ich literaci wiedzą, że o wolny czas współczesnego człowieka rywalizuje nie tylko druga książka, ale Internet, film, serial, gra komputerowa, wydarzenie sportowe, spotkanie towarzyskie… Nie oszukujmy się. Z tych wszystkich rozrywek czytanie jest najtrudniejsze i wymaga najwięcej wysiłku. Nie ma sensu utrudniać odbiorcy czerpania przyjemności z obcowania z książką.

Dlatego, kiedy mam na myśli, dajmy na to, słowo „refleks", nie używam w *Piaście Mścicielu* jakiegoś wydumanego neologizmu, przy którym czytelnik pięćdziesiąt razy się zastanowi, o co mi chodzi, albo spojrzy do słowniczka na końcu książki (kolejne oderwanie wzroku od tekstu, wyrwanie z opowieści, pretekst, by spojrzeć w ekran smartfona). Używam sformułowań powszechnie zrozumiałych, a jednocześnie zachowujących logikę świata.

Według mnie książka powinna płynąć. Czytelnik ma w nią wsiąknąć. Każdy moment, w którym odwraca uwagę, jest moim zdaniem strzałem w stopę. Taką mam wizję.

Oczywiście, nie wszyscy się z nią zgodzą. Mam wrażenie, że wielu naszych rodzimych twórców w znacznym stopniu odrzuca całą amerykańską drogę do nowoczesnej literatury. Traktuje się ją jako tę gorszą, masową. U nich musi wciąż pałać ta dzięcielina, inaczej coś zgrzyta.

Ostatecznie to zawsze czytelnik zdecyduje.

J.R.: Zanim zdążyłam zapytać o to, jak wpłynął na Twoje postrzeganie literatury pobyt poza Polską i czytanie w języku angielskim, Ty w zasadzie wyczerpująco udzieliłeś już odpowiedzi na to pytanie. Poszerzmy to jednak nieco. Czy uważasz, że nasza rodzima literatura jest jakościowo słabsza od anglojęzycznej?

K.J.: Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć prostym tak lub nie. Przede wszystkim nie sądzę, że istnieje coś takiego jak obiektywnie lepsza lub gorsza literatura. Od osób, które prezentują takie poglądy, próbuję od lat uzyskać jednoznaczne kryterium owej jakości. Jeśli ktoś dysponuje podobnym algorytmem, byłbym wdzięczny za podzielenie się nim.

Poza tym, trochę się u nas jednak tworzy. Co zrozumiałe, nie tak wiele jak w świecie anglojęzycznym, ale przeciętny czytelnik i tak nie zdoła przerobić wszystkiego. Są u nas autorzy piszący książki, które bardzo mi się podobają. Jest też ocean anglojęzycznych twórców, których szczerze nie trawię. Ba, często wypuszczają oni bestseller za bestsellerem.

Ale patrząc na sprawę statystycznie, wydaje mi się, że rynek anglojęzyczny jest nieco lepiej przystosowany do gustów masowego odbiorcy. Pewnie dlatego to właśnie oni sprzedają się doskonale u nas, a nie odwrotnie. Literatury pięknej nie podejmuję się oceniać. Aczkolwiek, patrząc na ilość przyznanych Nobli w literaturze, to Anglosasi mają tu też zdecydowaną przewagę.

Amerykanie są bardzo wygodnym chłopcem do bicia. Przyjęło się u nas traktować ich jako głupszych młodszych braci. Pogląd tyle nieuzasadniony, co zabawny, również w dziedzinie literatury. Zwłaszcza jeśli porównamy współczynniki czytelnictwa w obu krajach.

J.R.: Porozmawiajmy jeszcze chwilę o Twoim debiucie. Dlaczego akurat Polska wczesnopiastowska?

K.J.: Bo wczesne średniowiecze to po bliższym poznaniu prawdziwie fascynujący okres, w którym każdy charyzmatyczny zbój, zdolny zebrać wierną drużynę wojów i zawrzeć odpowiednie sojusze, był w stanie wykroić ostrzem miecza swój własny kawałek świata. Nie musiał wygrać na loterii genealogicznej szczęśliwego, arystokratycznego pochodzenia czy zostać namaszczonym przez bóstwa z jakiegoś świata fantasy. Wystarczały osobiste przymioty i odwaga. Albo może nawet bezczelność. Wydaje mi się to wymarzonym tłem dla opowiadania bohaterskich historii silnie opartych na wyrazistych postaciach, oferujących zatrzęsienie dynamicznych konfliktów.

Poza tym w społecznej świadomości istnieje tendencja do wybielania naszych prapoczątków. Czasem mam wrażenie, że gdyby zapytać przeciętnego przechodnia na ulicy, czym się zajmowali jego przodkowie, wyszłoby, że żyli w pokoju z sąsiadami, w absolutnej harmonii z naturą, kłaniali się dębom i nigdy nie skrzywdzili choćby muchy. Pewnie mało kto odpowiedziałby, że napadali wszystkich wokół, by ich zniewolić i sprzedać arabskim kupcom. To się nieco kłóci z naszą narodową samooceną.

A ja bardzo lubię takie rozdźwięki w literaturze. Natychmiast zwiększają atrakcyjność świata przedstawionego, czynią go żywszym.

J.R.: Czy masz jakieś rytuały związane z pisaniem? Ulubione miejsca, może porę dnia?

K.J.: Nie mam. Na pisarskie rytuały sobie będę pozwalał, kiedy się dorobię własnego gabinetu i zostanę poważnym Panem Artystą. Na razie wklepuję literki w tak zwanym międzyczasie. Zdarza się, że przychodzi wena i dzienna kwota słów jest napisana jednym ciągiem już o poranku. A czasem trzeba męczyć tekst odcinkami po pięćset znaków w przerwach od pracy lub z dzieciakami na głowie.

Na szczęście mam wyrozumiałą żonę, która toleruje moje hobby.

J.R.: Co aktualnie piszesz i jakie masz dalsze plany związane z własną twórczością?

K.J.: Obecnie próbuję odnaleźć swojego, powiązanego sznurem oraz zakopanego w lesie, wewnętrznego nastolatka i piszę młodzieżową fantasy z epickim rozmachem. Prawdę mówiąc, idzie to naprawdę obiecująco. Zwykle na tym etapie projektu zaczynam wpadać już w lekką panikę. Tymczasem tym razem pozostaję umiarkowanym optymistą. Nie wiem, czy to efekt jakości tekstu, ciekawej fabuły, czy ilości wypitego ostatnimi czasy piwa. Zobaczymy podczas edycji.

Oprócz tego mam już gotowy thriller science fiction osadzony w niezbyt świetlanej, niedalekiej przyszłości. Póki co trafił do próbnych czytelników, a pierwsze oceny są zachęcające.

Generalnie są to dla mnie dość ciekawe eksperymenty. Nie przepadam za tempem przeciętnego thrillera (a co dopiero takiego ekspresu, jaki sobie wykoncypowałem), ciężko trawię szeroko pojęte młodzieżówki, a na słowa *epickie fantasy* dostaję zwykle wysypki. Ale podjąłem decyzję, że jeśli chcę

się rozwijać, muszę podejmować nowe wyzwania. W tym próbować innych podgatunków, proponować moje opowieści różnorodnym grupom odbiorców. Tak że spokojnie. To nawet nie jest moja finalna forma.

Wszystko to oczywiście mam nadzieję serwować czytelnikom równolegle z cyklem o Piaście, który był ukończony jeszcze przed premierą pierwszej części. Harmonogram kolejnych tomów zależy wyłącznie od planów Wydawnictwa Dolnośląskiego.

J.R.: I na koniec chciałam zapytać, jakiej rady mógłbyś udzielić twórcom, którzy jeszcze nie odważyli się wysłać swoich rękopisów do wydawnictw?

K.J.: Sądząc z moich doświadczeń, poradziłbym, żeby zmienili nazwisko oraz adres zamieszkania i napisali coś w gatunku, który w połączeniu z poprzednimi elementami sugerowałby uznanego pisarza wysyłającego coś do wydawnictwa pod pseudonimem.

A tak na poważnie, co ja mogę komukolwiek radzić. Sam tu jestem przypadkiem. Mogę co najwyżej podzielić się radą Jima Butchera, którą gdzieś wyczytałem, a wyciągnęła mnie z wszelkich tarapatów - od pisania pierwszego tekstu po edycję, blokady twórcze czy negocjacje z wydawnictwem. Jeżeli kiedyś dorobię się wreszcie tego gabinetu, wywieszę te słowa na ścianie, aby codziennie je widzieć. Ta rada brzmiała tak: „Napisz następne słowo”.

J.R: Dziękuję za rozmowę!

K. J.: Cała przyjemność po mojej stronie.